

POWIEŚĆ: NOWELA

ROK XXI

WARSZAWA, DNIA 8 CZERWCA 1929 ROKU

NR. 23

JERZY OSTROWSKI

J A Z O N E J A

6)

(POWIEŚĆ EGZOTYCZNA)

— Jeżeli chodzi o zobaczenie planu osady — to przecież nie jest nic zdrożnego! — oburzał się prawie Messel, któremu ciążyła ta cisza. — A zresztą, chodzi tu o interes całej gromady. Wszyscy są niezadowoleni i nie rozumieją, dlaczego Dyrekcja zwleka...

Nareszcie Otto Reich otworzył szerzej oczy i wy dobył z siebie głos!

— Czy jest upoważniony? Czy on, Messel, przychodzi wyraźnie od gromady? Bo już raz zrobił zawód: nie ma wpływu. Wpływ mają bandyci, którzy robią awantury...

Messel się skrzył: niewygodne mu było postawienie sprawy w tak radykalny sposób. Oczywiście, nie zapiera się: ma pewien interes, który może przynieść pożytek i dla Dyrektora. Zresztą gromada istotnie jest zaniepokojona...

Dyrektor Reich patrzył przez jakiś czas wymownie na swego sekretarza, który wreszcie, choć z wyraźną niechęcią, podniósł się i powiedział uprzejmie:

— Przejdę się trochę do „vendy”.

— Oczywiście, oczywiście — dobrodusznie potwierdził Reich — młodzież w tym wieku powinna znaleźć czas na wszystko i nie tkwić ciągle w sprawach zarobkowych. Powinniście zostawić to nam starszym, bo inaczej przemęczycie się.

Brzmiało to bardzo ostrzegawczo i sekretarz wyszedł dość szybko. Nieoceniony „capanga” — Virgilio popatrzył przez uchylone drzwi, czy sekretarz rzeczywiście poszedł i znowu siadł przy drzwiach.

Wtedy dyrektor wyjął plan kolonji.

— Więc? — sucho zapytał. Widać było, że nie ma bynajmniej zamiaru ułatwiać swemu gościowi jego sprawy.

— Chodzi o działkę najbliższą Czarnej Rzeki — nieco gorączkowo mówił Messel i schylał się blisko nad planem. I mruzczał dalej:

— Pan rozumie, panie dyrektorze... Dla „vendy” to ma znaczenie. A przecież w gruncie rzeczy to wszystko jedno. W dodatku jestem gotów... he, he...

Idealny „capanga” z jakichś nieuchwytnych oznak zrozumiał, że intruz może być uważany za gościa i kontrahenta, wziął się więc do przyrządzania „szimaronu”, bez którego nie może się obyć żadna sprawa.

W tym samym czasie, Cobus trwał w okresie lenistwa i tracił czas na popijanie z Josém „cachasu”,

jak człowiek spokojny o miłość przywiązanej kochanki. A może zresztą nie dbał, czy Fortuna nie przejdzie obok niego? Po chwili wszedł sekretarz dykcji i po chwilowym wahaniu zdecydował się pić razem. Ostatecznie „venda” była tak pusta, że trudno mu mieć to za złe.

W ciągu następnych dni mężczyźni zaczęli się zbierać partjami na pierwsze, wymierzone loty. Musieli oczyścić bodaj trochę miejsca na domy, które miały być postawione na koszt Kolonizacji.

Kędzierzawy młodzieniec, który był sekretarzem Reicha, miał pewne ambicje. Nie podobało mu się to mocno, gdy gdzieś blisko czuł interes i nie mógł się go dotknąć. Kręcił się więc ciągle, niepokojony nadzieją jakiegoś niesłychanie szczęśliwego zarobku, jakiejś bajecznej spekulacji. Cobus, który nieźle znał portugalski, był najbardziej wystawiony na konieczność wysłuchiwanie nadziei i planów Senhora Affonso, choć niezbyt wysiłał się zresztą na uwagę. Kiedyś nawet zdecydował się Affonso zaprosić Cobusa na jeden kieliszek, aby zneutralizować jego niecierpliwłość i wykladał mu żarliwie, jak to ludzie się dorabiają.

— To był taki prosty agent! — mówił, kiwając żałośnie głową. — Rozumie pan, agent jakiegoś towarzystwa. To jedno kupno bydła zebu zrobiło z niego potentata finansowego. Bo zważ pan tylko: umówił się, że za bydło zapłaci, jeżeli 80% dowiezie na miejsce (myśląc o chorobach nibyto), następnie ubezpieczył samo bydło i ubezpieczył trzy okręty transportowe. Na swoje imię, oczywiście. Następnie zaś zatopił okręty razem z bydłem. Nieźle, co? — patrzył tryumfująco. — Ale myślisz pan, że to wszystko? He, he, he!... Otóż każdemu bydlakowi przywiązał do zadu pęk trzciny bardzo lekkiej. Rozumie pan, aby? Zauważył szelma, że byk tonie zadem a głowę utrzymuje na powierzchni. Rozbicie było blisko brzegów, rozumie pan... Większość bydła dopłynęła i to bydło — Affonso badał, czy słuchacz jest dość podniecony — i to bydło... ma się rozumieć — sprzedał.

Cobus mruzczał coś niewyraźnie.

— I pomyśl pan — jęczał z podziwem sekretarz Reicha — pomyśl pan, ile razy zarobił on na tej jednej trzodzie? A wobec swojej firmy? — Proszę bardzo: czyż bydło nie zatoneło z okrętami? A pieniądze? — Zapłacone za bydło! Wchodzi tu w grę tak

zwana „vis major”. Zresztą w firmie rozumiano, że ma już dość pieniędzy, żeby zapłacić proces. I to grubo zapłacić, mogę pana zapewnić. I zresztą — podobał się wszystkim ten kawał. Dzielny chłop!...

Senhor Affonso zwiesił głowę i rozłożył ręce:

— No, a tu — przyznaj pan — wśród emigrantów, w jaki sposób można zarobić? No, powiedz pan, powiedz — przysuwał się groźnie. — Ma pan jaki interes do zrobienia? Chce pan coś kupić? Coś sprzedać?

Cobus ocknął się nagle i rzucił niedbale przed siebie:

— Si, mam coś na sprzedaż.

Sekretarz popatrzył wyraźnie i zaczął starannie trzeźwieć. Potem jednak coś postanowił, nie czując widocznie zaufania do siebie w danej chwili:

— Jutro zrana — powiedział. — Tylko na pewno.

W ten sposób powstała transakcja, którą długo przeklinał biedny Affonso, mimo, że robił ją na trzeźwo i miał jak najpiękniejsze wzory życiowe. Dość powiedzieć, że nikt z emigrantów nie decydował się kupić od niego rzeczy nabytych od Cobusa. Były to stare ubrania, bielizna, pościel, nawet nieco naczyń — wszystko rzeczy zupełnie niezbędne. Dlaczego więc nie kupowano?

Wreszcie Affonso wprost zapytał Cobusa, czy te rzeczy nie są czasami zepsute przez „złe oko”. Długo czas czuł do Cobusa urazę kędzierzawy sekretarz, dopóki nowy obrót handlowy — równie nieudany — nie odwrócił jego niechęci w inną stronę. Oto milczący Syryjczyk kupił cały ten towar niesłychanie tanio i sprzedał jakiejś innej partji ze sporym zarobkiem.

Tymczasem jednak miał Cobus przeciwko sobie całą „Dyrekcję”, od dyrektora Reicha do czarnego Virgillia włącznie. Zamało to wszystko — zdaje się — brał pod uwagę.

Podróż wypadła im po dwudniowym tylko deszczu, ale kto zna fantastyczny grunt dróg brazylijskich — ten wie, że mogły przez ten krótki czas wytworzyć się takie nieprzebyte błota, że tylko konny człowiek mógł jechać jako tako.

Piekielna glinka czerwona tych dróg, która podczas suszy przemienia się w nieuchwytny, mialki pył, wciskający się w każdy zakątek ubrania — przemienia się podczas deszczu w jedną gęstą masę, lepiącą się do nóg, kół i kopyt. Każdy następny krok jest cięższy od poprzedniego, bo unosi ze sobą większą bryłę czerwonej masy.

Kto wie, czy spontaniczny pęd do miasta, który cechuje brazylijanina, nie ma właśnie wytłumaczenia w tej obawie błota. Ucieczka z „interioru” do miasta — to przedewszystkiem ucieczka od błota — na suche kamienie. Nawet teraz, w wieku samochodów, zobaczycie nieraz na ulicach niektórych miast Brazylii, jak zabłocony i uwalany do ostatnich granic możliwości samochód, z łańcuchami na kołach, z parą dobywającą się z chłodnicy, radośnie wjeżdża na pierwsze kamienie bruku.

Widząc taki umęczony Ford lub Chevrolet, możecie być pewni, że jeszcze kilka godzin temu jego pasażerowie pracowali dobry kawał czasu nad uwolnieniem go z jakiejś djabelskiej dziury. Grzebali się koło niego, pod strugami deszczu, zbierali jakieś odłamki, gałęzie, kamienie i to wszystko pchali mu pod koła, aby raczył ruszyć się z miejsca i przestał wykopywać pod sobą coraz większe koleiny oblepionymi kołami.

A przyjrzyjcie się dobrze — zwłaszcza jeżeli to jest „Ford” — czy nie ma czasami zamiast przedniego resoru — pnia paproci drzewiastej, przywiązanej misternie sznurami, drutami i łańcuchami.

To się dzieje na drogach, które wykazane są na tutejszych mapach, jako „drogi samochodowe”. Następnie po nich w hierarchji są drogi kołowe, które mi niebardzo się można odważać jechać wozem, i wreszcie ścieżki, czyli, t. z. „tropy”, które mi tylko konno, a i to nie wszędzie, można przejechać. Droga z Czarnej Rzeki do nowej kolonji była raczej „tropą”, niż czem innym; to też wozy osadników ciężką miały przeprawę. Zwłaszcza, że lekki wózek, który wprowadzili przybysze, na wzór używanych przez nich w Starym Kraju — zjawił się dopiero znacznie później.

Dobrze się stało, że jechali sami mężczyźni, a i to nie wszyscy: sami najzawziętsi. Droga miała tak nieprawdopodobnie głębokie doły i tak niewiarogodnie chytrze ukryte, że najlepszy woźnica musiał choć z raz wywrócić. Tak zatrzymując się, reperując, podnosząc, poprawiając drogę i moknąc, przybyli na miejsce.

„Na miejsce“!... — uśmiechali się tylko gorzko, mówiąc to. Były to takie same roztopy, takie same szare, powikłane laski i grzążkie, zgniłe łączki, z rzeczczulkami, z których nie można było pić wody — jak wszędzie po drodze.

Zaczął się wydzielenie lotów. Nie zorientowali się z początku, które miejsce może być wygodniejsze, która ziemia lepsza, który lot bardziej wart. Potem, potem dopiero osadnik nauczył się od pierwszego rzutu oka na roślinność oceniać ziemię, wiedzieć, która jest dobra pod „hervę” i pastwisko, która pod uprawę właściwą, t. z. kukurydzę i fiżon, która wreszcie pod trzcinę cukrową lub ryż.

A i w planie tej przyszłej kolonji trudno się było zorientować: przyzwyczajeni do ciasnych, ulicowych wiosek Starego Kraju — bali się rozproszenia na odległych lotach i choć w części chcieli skupić się w podwójnym szeregu domów, mających za sobą ziemię uprawną.

Pojechał z nimi nie sam dyrektor, lecz sekretarz Affonso, który obszarzał sobie w niewidziany sposób swoje długie spodnie i spiczaste, miejskie trzewiki. Senhor Affonso był zły: robił trudności we wszystkim, nie uwzględniał zupełnie niewinnych próśb co do przydziału terenów i ciągle groził, że musi zostawić miejsca pomiędzy lotami dla innych przybyszów: Italjanów.

Poszli w tej sprawie gromadą do „rancho”, które sobie sklecił wraz z Josém i furmanami. Teraz już nieco bano się tej gromadności i uporu przybyszów.

— Nie puścimy między siebie Taljanów — mówił stary Szuk, patrząc nibyto na Andrégo. — Tak mu powiedz! I niech pokaże plan i wytłumaczy.

— On mówi — oświadczył wreszcie po długiej wymianie myśli André — że może to da się zrobić, ale jak on to robi, to on sobie może zaszkodzić, więc niby... rozumiecie? A plan to jest „questão” Dyrekcji i on może tylko „eksplikować”, a „mostrar” — „não pode”.

Zaczął więc Senhor Affonso rysować coś patykiem na ziemi, a delegaci patrzyli uważnie. Kolonja według tego rysunku miała mieć kształt litery „Y”, zwróconej pojedynczym ogonkiem w stronę Czarnej Rzeki, a dwoma ramionami w stronę lasu. Szuk nic nie mówił, ale coś usilnie obmyślał, a Messel niepokoił się wyraźnie.

(D. c. n.).

TRÓJKA TREFL

11)

Godfrey przypomniał sobie, jakie wrażenie zrobiło w hotelu Wolfsbad jego przeniesienie się do Kès, i nie zdziwił się zbyt odnową Miłosza. Pragnął jednak przełamać upór starca. Pojechał z Wirginją do willi, lecz zastał dom zamknięty i opuszczone okiennice. Na kominku płonął ogień, nakrycie do herbaty przygotowane, ale Miłosz znikł bez śladu i Godfrey musiał wrócić do Kès.

Był dziwnie zaniepokojony. Wprawdzie nikt nie dał mu do poznania, że uważa go za podejrzanego, Walerja wydała się być oczarowaną jego towarzysztwem, hrabia Gellert był uosobieniem gościnności, a Fraugott starał się uprzejmością zaskarbić jego względy, lecz Godfrey wyczuwał intuicyjnie, że wszystko trwa w napięciu oczekiwania.

W zamku czyniono przygotowania. Wietrzono i sprzątało gościnne pokoje. Cairsdale spotkał kilkakrotnie służące węgierskie, wlokące przez korytarz ciężkie materace. Zauważył też, iż Gellert i Walerja znikali często na godzinę i dłużej, a baronowa, w tym czasie, dotrzymywała mu towarzystwa.

Czuł, że niebawem nastąpi moment kulminacyjny i codzień miał wrażenie, że spotka przy obiedzie nowe twarze. Lecz ani Trommel, ani von Bartzen nie zjawiali się na zamku i nie było o nich mowy.

Godfrey starał się panować nad sobą. W towarzystwie swojego gospodarza oraz Wirginji przybierał lekki żartobliwy ton i zachowywał się swobodnie.

Lecz nocą w swoim pokoju całymi godzinami leżał z szeroko otwartymi oczami i wsłuchiwał się w ciężkie kroki Stefana, przemierzającego korytarz. Daremnie wtedy starał się zwalczyć uczucie, że wpadł w pułapkę... tak jest, wpadł w pułapkę.

X.

„JAKI ŚWIAT JEST MAŁY”

Gdy Wirginja Fitz Gerald przybyła do Budapesztu, Klaudjusz Lorne nie oczekiwał jej na dworcu. Wywnioskowała więc, że nie otrzymał depechy. Miała nadzieję, iż nie opuścił miasta, gdyż bez jego pomocy nie udałoby się jej przeprowadzić planu, który tak starannie wypracowała w swojej bystrej głowce.

Czuła się trochę osamotniona i oszołomiona, wychodząc z wagonu. Otaczał ją obcy tłum, mówiący niezrozumiałym językiem.

Lingwiści twierdzą, że język węgierski przypomina fiński i tatarski. Jest to niezmiernie zachęcające dla tych, którzy władają temi językami, lecz mało pocieszające dla tych, którzy ich nie znają. Wirginja znała doskonale francuski, niemiecki, jej amerykańska angielszczyzna była pełna wdzięku, lecz na tem ograniczały się jej wiadomości lingwistyczne. Ze zgrozą spoglądała na napisy i plakaty węgierskie.

Nadmiar złego posługacz kolejowy, któremu powierzyła swój kwit bagażowy, obsypał ją potokiem niezrozumiałych słów. W żaden sposób nie mogli porozumieć się z sobą. Powtarzał jej kilkakrotnie jedno i to samo, coraz głośniejszym i z coraz większym ferworem. Następnie, sądząc, że ma do czynienia z osobą niezbyt bystrą, jał mówić wolno i dobitnie, gestykulując i wzdychając.

Wirginję otoczyła gromada ludzi, współczująca tej młodej i ładnej osobie, dotkniętej kalectwem głuchoty. Wirginja próbowała porozumieć się to po francusku, to po niemiecku, ale posługacz śmiał się tylko, szczerząc zęby.

W tym momencie zjawiał się jakiś wysoki mężczyzna i torując sobie drogę mocnymi łokciami, znalazł się obok Wirginji.

Był szczupły i smukły, miał orli nos, wielkie ogorzałe czoło. Wąsy krótko ostrzyżone były siwe. Robił wrażenie sztywnego i oschłego manekinu.

Zdjął zielony filcowy kapelusz i wyciągając rękę, odezwał się po angielsku.

— Co za spotkanie! Chyba mnie wzrok nie myli, to panna Fitz - Gerald. Jaki świat jest mały! Co pani robi w Budapeszcie? Czem mogę być pani pomocny?

Następnie, nie czekając na odpowiedź, zwrócił się do posługacza po węgiersku. Późem objaśnił Wirginji.

— On prosi panią o klucze, gdyż trzeba zrewidować bagaż.

Wirginja podała klucze. Tłum rozstał się.

— Dzicy ludzie! — narzekał chudy pan. — Wydaje się im, iż cały świat winien rozumieć ich przekłety język. Ależ, na Boga, jak pani wypiękniała, panno Wirginjo!

Młoda dziewczyna uśmiechnęła się. Widziała ostatnio von Bartzena podczas wojny i przypomniała go sobie z trudem. Był podówczas kapitanem kawalerji austriackiej, przystojny, szykowny, pełen humoru. Zrozumiała wtedy po raz pierwszy różnicę między austriakami i Niemcami.

Baron von Bartzen grywał w tenisa u wuja Andrzeja i Wirginja spotykała go w czasie wakacji. Był wtedy elegantszy, nie miał przerzedzonych włosów, jak obecnie, lecz lata nie odbiły się na jego uprzejmym, niemal serdecznym sposobie bycia.

Zaopiekował się Wirginją, uparł się nawet, ażeby towarzyszyć jej do hotelu, gdzie zatrzymała dla siebie pokój i na życzenie Wirginji zatelefonował do legacji brytyjskiej, by dowiedzieć się, co się dzieje z Klaudjuszem Lorne.

Powiedziano mu, że jest nieobecny i wróci późnym wieczorem. Wirginja poprosiła, ażeby powiadomiono go o jej przyjeździe i że go będzie oczekiwać w hotelu.

Von Bartzen wymógł na Wirginji przyrzeczenie, że pójdzie z nim razem na obiad.

— Zaprowadzę panią do wytwornej restauracji, gdzie nie bywają tak zwani „baronowie gulasz”, to jest ludzie którzy zdobyli majątek podczas wojny. Jest ludzie, którzy zdobyli majątek podczas wojny. go cygańską orkiestrę.

Wirginja przyjęła zaproszenie bez wahania. Przypuszczała, że von Bartzen będzie się do niej umizgał, gdyż miał opinię wielkiego wielbiciela i uwodziciela kobiet, lecz panna Fitz-Gerald była odporną na wszelkie zaczepki, nie bała się mężczyzn i perspektywa samotnie spędzonego wieczoru w pokoju hotelowym nie uśmiechała się jej wcale.

Von Bartzen miał zajęte popołudnie. Zawezwął więc dyrektora hotelu, polecił jego opiece piękną cudzoziemkę. Następnie zwrócił się do portjera, ażeby

sprowadził powóz z woźnicą mówiącym po niemiecku, który miał objechać z Wirginją całe miasto i pokazać rzeczy godne widzenia. Wreszcie ucałował rączkę amerykanki i pożegnał się z nią.

— To Austriak — zauważył portjer, podczas gdy znikła wysoka postać von Bartzena — ale prawdziwy pan!

Wirginja przebrała się wieczorem w czarną jedwabną suknię, bardzo prostą i skromną. Na szyję włożyła sznurek pereł i stanęła przed lustrem, ażeby „poprawić” włosy i ukarminować karminowe wargi. Spoglądając na swoje odbicie, zastanawiała się, czy obiad ten potrafi wyzyskać dla zebrania pewnych informacji.

Wiedziała, że von Bartzen pochodził z doskonałej rodziny i że przed wojną bywał na dworze. Prawdopodobnie wiedział, co się dzieje na Węgrzech, i może — gdy go zręcznie wypyta — dowie się, jaka tajemnica otacza nagłe zniknięcie Godfrey'a Cairsdale.

Zeszła do halli hotelowej z pewnem opóźnieniem. Oczekiwał ją von Bartzen, ubrany w smoking.

— Widać, że przyjeżdża pani wprost z Paryża! — rzekł, zginając się w ukłonie.

Jenny zarumieniła się, zadowolona z tego uznania.

Taksówka zawiozła ich do restauracji. Sala restauracyjna posiadała wygląd bezpretensjonalny i należała do typu przedwojennego: jasne meble, obite czerwonym przywiedłym adamaszkiem, na ścianach lustra.

Stolik był zarezerwowany, menu z góry ułożone i podczas gdy lokaj nakładał kawior, von Bartzen pokazywał Wirginji wszystkie sławy, obecne na sali, a więc znakomitego mówcę, potrafiącego wzruszać do łez... w czterech językach, młodego autora dramatycznego, gwiazdę operetkową.

Restauracja zapełniła się. Wirginja zauważyła kilka kobiet niezwyklej urody, o oczach przeczyszczonej i głębokich, oraz przepięknych rysach, co jest charakterystyczne dla tej dumnej i namiętnej narodowości.

Niemniej interesujący wydali się jej mężczyźni, a zwłaszcza starsi, którym siwizna łagodziła ostrość rysów i pogłębiała marzycielskie, głębokie spojrzenie.

Na przeciwległym końcu pokoju znajdowała się orkiestra cygańska. Muzykanci o czarnych rozwierzonych czuprynach nosili rumuńskie, bogato haftowane koszule i wysokie buty. Grali walce wiedeńskie z niebywałem zacięciem.

— Który z nich jest tym sławnym Rakoszem? — zapytała Wirginja.

— Mistrz Rakosz jest zbyt wielkiego o sobie mniemania, ażeby przychodzić tak wcześnie — odpowiedział von Bartzen. — Teraz grają rzeczy, w których niema pola dla wykazania swojego talentu. Zjawia się za chwilę i usłyszysz pani, jak interpretuje Liszt, Smetanę, Szopena.

— Jestem zachwycona tym zespołem — zauważyła Jenny.

— Będzie pani jeszcze bardziej oczarowana, gdy stanie wśród nich Rakosz — odpowiedział von Bartzen.

Następnie, wskazując starszego mężczyznę, siedzącego samotnie przy stoliku, dodał.

— To hrabia Hektor Aranyi. Od czasów wojny mieszka na Węgrzech i czuje się bardzo nieszczęśliwy, gdyż uwielbia Anglię, w której spędził połowę życia, i gdzie zawsze kupował ubrania, obuwie, kapelusze. Polował tam, brał udział w wyścigach. Jest niezmiernie bogaty, posiada wspaniałą zamek w okolicach Hacz...

Młoda dziewczyna uniosła szybko głowę. W biurze wagonów sypialnych objaśniono ją, że Hacz znajdował się w pobliżu dwieście dwudziestego czwartego kilometra.

— Żyje tam, jak król udzielny, wśród wspaniałych i olbrzymich lasów — ciągnął von Bartzen. — Słynne są jego polowania, a jednak tęskni wciąż za swoją Anglią. Przyjaciele namawiają go, ażeby się przeniósł do swojej przybranej ojczyzny, skoro bez niej wytrzymać nie może. Tam, do diabła!

I von Bartzen wychylił kieliszek wina, jak gdyby pragnąc ulżyć sobie.

— Nie lubi pan Anglików, pułkownika? — zapytała Wirginja.

Von Bartzen, który opowiedział jej, że w czasie wojny awansował na pułkownika, odrzekł.

— Niczem się nie różnię od innych sprzymierzeńców — odparł ponurym głosem. — Poćwiartowali moją biedną ojczyznę, rozbili ją i podzielili pomiędzy Rumunami, Czechami i Kroatami. A teraz prowadzą Niemców do ruiny. Lecz niech się strzegą.

Trwał przez chwilę w głębokiej zadumie, a następnie opanował się i z uśmiechem na ustach zwrócił się do Wirginji.

— Zapomniałem się — rzekł. — Należy być teraz niezmiernie ostrożnym w wygłaszaniu swoich przekonań politycznych. Ściany mają uszy i niewiedomo, co może wywołać jedno niebacznie wypowiedziane słowo.

Znowu napełnił kieliszek i unosząc go, zawołał wesoło.

— Piję zdrowie mojego byłego wroga!

Tręcili się wesoło kieliszkami i von Bartzen, któremu wrócił dobry humor, zabawiał swoją towarzyszkę wesołymi anegdotkami.

Przeskakiwali z tematu na temat, ale daremnie starała się Wirginja poruszyć zagadnienia polityczne. Wtem w przeciwległym końcu pokoju zrobił się ruch. Wysoki mężczyzna, o długich kruczonych lokach, ubrany w białą jedwabną koszulę, wszedł majestatycznym krokiem na podjum dla orkiestry. Stał przez chwilę nieruchomy, ze skrzypcami pod ramieniem. Rozglądał się po sali. Twarz promieniała uśmiechem, gdy pochyleniem głowy odpowiadał na owacyjne okrzyki publiczności. Czarne, śmiałe oczy zatrzymały swoje spojrzenie na Wirginji, podczas gdy kłaniał się ze specjalną uprzejmością jej towarzyszowi.

— Rakosz — rzekł von Bartzen, kładąc monokl. „Mistrz” odwrócił się i zamienił kilka słów z członkami swojej orkiestry, a następnie jał stroić skrzypce.

Zapanowała chwila milczenia, poczem Rakosz uniósł dłoń.

Orkiestra zaintonowała kilka powolnych melancholijnych akordów.

— Jak długo zamierza pani zabawić na Węgrzech? — zapytał von Bartzen.

Lokaj przyniósł butelkę starego tokaju i napełnił kieliszki ciemnozłotym płynem. Von Bartzen nalegał, ażeby Wirginja napiła się tego najlepszego, według niego, napoju.

— Znakomite wino, chociaż trochę za ciężkie. Jak długo zostaję na Węgrzech, sama nie wiem. Zależać to będzie od moich przyjaciół. Miałam ochotę zwiedzić Węgry. Jest to jeden z nielicznych krajów w Europie, którego nie znam. Chyba w ciągu tygodnia obejrzę wszystko, co godne widzenia.

(D. c. n.).